Rok II. Kraków, dnia 15go Grudnia 1870. **Ner 24.**



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

Prenumerata: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
Listy i prenumeratę przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

Sz. PP. Przedpłacicieli upraszamy o łaskawe przesłanie zaległych przedpłat.

Od Nowego Roku „Włościanin“ co tydzień wychodzić będzie.

Słowo od Redakcyi.

Właśnie numer niniejszy jest ostatnim w tym roku. Załączamy do niego tytuł i spis rzeczy, aby sobie dać oprawić i mieć całą książkę. Jakeśmy się wywiązali ze swojego zadania, nie do nas należy ocenienie. Tyle tylko powiedzieć możemy, żeśmy dokładali starania, by nie zrobić zawodu, że zaś nie wszystko tak było, jakeśmy pragnęli, nie na nas ciąży wina. Pomimo, żeśmy mieli wielkie straty z powodu różnych okoliczności, będziemy i nadal wydawać „Włościanina“ lecz nie dwa razy, tylko cztéry razy na miesiąc, tak. że co sobotę numer wychodzić będzie. Spodziéwamy się jednak, że zjednamy sobie licznych Czytelników, którzy nie pożałują 1 zł. 15 c. kwartalnie, 2 zł. 30 c. półrocznie, 4 zł. 60 c. rocz. Ale prosimy zgłosić się ile możności najwcześniéj, byśmy się mogli. obliczyć należycie.

Komu się więc podoba nasze pismo, a nie chce wiele płacić za przesyłkę, niechaj idzie na pocztę i i żąda karty przekazowéj, która kosztuje tylko 5 centów i niech napisze na niéj wyraźnie imię, nazwisko i miejsce zamieszkania, a potém da na niéj adres do redakcyi „Włościanina“ w Krakowie, ulica Gołębia, II. piętro, Nr. 169, niech złoży pieniądze na poczcie, a już go pismo regularnie dochodzić będzie.

Dzisiejszym Czytelnikom i Pracownikom naszym dziękujemy serdecznie za ich dobre serca i prosimy ich pięknie, by o nas nie zapominali i jak dotąd wspiérali nasze usiłowania, byśmy nie chwalący się znowu mogli z całą gorliwością pracować dla Was a jeno z miłości i dla Waszego dobra. Mamy niepłonną nadzieję, że nam otworzycie Wasze chaty i serca Wasze, bośmy ludzie nie złéj woli, ale ludzie szczérze Was miłujący, którym gościnność Wasza bardzo jest pożądaną. Wydatek mały nie obciąży kieszeni Waszéj, a dobro, jakie wyniknie dla Was i kraju całego, wynagrodzi sowicie grosz Wasz ofiarowany i prace nasze.

Wkrótce poznamy się lepiéj, bo zamiary nasze tak czyste, jak ów śnieżek biały, który zaległ pola nasze. Przy zbliżających się świętach Bożego Narodzenia życzymy Wam lepszéj doli i powodzenia jak i wszystkim ziomkom naszym i ziemi naszéj. Gdy się w kółku łamać będziecie opłatkiem, wspomnijcie na nas, bo i my wtenczas wygłosimy życzenie za pomyślność Waszą! Bądźcie nam radzi i zostańcie z Bogiem!

Czterdziestu chłopów pod Kłuszynem

przez Walentego ze Smolnicy.

Nie znajdzie pono na świecie gospodarza, coby mając złych sąsiadów, potrafił się uchronić od kłótni, choćby, jakto mówią, był bez żółci i miękkiego jak wosk serca. To też i Polska, choć tyle miłowała spokój i nie dybała na cudzą własność, musiała nieraz rada nie rada opędzać się szablą od napaści i uczyć rozumu butnych sąsiadów.

Takci było z Moskwą za króla Zygmunta III. Dojmowali i dojmowali nam Moskale, aż ci koniecznie przyszło do wojny i król Zygmunt sławnego hetmana Stanisława Żółkiewskiego z wielkiém wojskiem wysłał na moskiewską ziemię. I czas już był do tego, bo w Moskwie straszne działy się rzeczy. Młodego syna nieboszczyka cara zamordował własny minister i sam osiadł na tronie; temu znowu drugi jakiś dojechał końca, a tego drugiego znowu inni zgładzili ze świata i tak szło daléj. Sprzykrzyło się patrzéć na to Polakom, a cóż dopiéro doznawać krzywdy w tém i owém! Wyruszył tedy sławny Żółkiewski z Polakami, a dwaj Szujscy, carowie, gromadzili lud i gotowali się do obrony. Ale odrazu już im bardzo ciężko było na sercu, bo Polska była potężna i zamożna, a hetman Żółkiewski, wojownik straszny, co już wiele wygrał wojen, a nawet najstraszniejszym natenczas w świecie Turkom, kroił kurtę, że aż miło.

Nie dziw też, że już naprzód mieli boja Moskale, a pokazało się potém, że dobrze zwąchali pismo nosem. Pod Kłuszynem zdybały się wojska oba, i zaraz wszczęła się bitwa zapalczywa. Ciężkaż to była godzina dla Moskali! Hetman Żółkiewski wié jak najlepiéj uszykować wojsko, i którędy najskuteczniéj wsiąść na kark wrogowi, a nasze wojsko jak mur żelazny posuwa się naprzód a naprzód. Tylko co zaczęła się bitwa, a już widać, że nasi górą i górą aż do końca.

A tam na lewém skrzydle, na małém wzgórzu stoi kupa Moskali i zawzięcie broni się, od naszych, co ciągle szturmują a szturmują do góry. Naszych niewiele wprawdzie, aleć to strasznie natarczywi ludzie. Trzy razy odparli ich Moskale, a oni taki suną naprzód i przecież nakoniec rozbili wroga jak kupę piérza i stanęli na górce.

Hetmanu Żółkiewski po innéj stronie prowadzi do boju żołniérzy, ale sokolém swém okiem widzi wszystko, co się dzieje.

— To mi zuchy! — krzyknął i daléj rozkazuje, jak iść do szturmu!

Ale też i niebawem skończyła się bitwa. Przegrali Moskale i całe pole zasłali trupami, a mnóstwo ludu zostawili w naszém ręku. Raduje się hetman z wielkiéj wygranéj, i Bogu szle podziękowanie, a całe wojsko dziękuje Boga-Rodzicy, co zdawien dawna była i jest niebiańską Matką i Opiekunką naszéj ziemi. Potém hetman objeżdża wojsko i przygląda się, ile zginęło w boju, i w tém ci przyjeżdża do téj kupki, co tak zawzięcie szturmowała na owe wzgórze. Patrzy zdala i widzi, żeć to nie szlachta jak całe wojsko, jeno prości chłopi, co z własnéj ochoty ruszyli na wojnę. Byli oni z różnych stron Polski, jednak jeden w drugiego chłop jak tuz czerwienny.

— Ilu was zostało z bitwy? — pyta pan hetman.

— Cztérdziestu! — odpowiadają junaki.

Pan hetman pokręcił wąsa i wspiął się wyżéj na konia.

— Łebscy z was chłopcy! — rzekł mocnym głosem. — Zasłużyliście się ojczyznie, a wiécie, że ojczyzna nasza, to pani szczodra i wspaniała, nagradza sowicie za wszystko, co kto zrobi dla niéj?... Otóż ci zaraz posyłam do króla i do sejmu pisanie, aby was wszystkich, jak tu jesteście, porobić szlachcicami!

Krzykneło z radości chłopów cztérdziestu, boć to polski szlachcic, to była godność nie lada; znaczył ci on więcéj w świecie i chrześcijaństwie, niż gdzieindziéj graf lub książe. To też nieraz obcy książęta, a nawet królewskie syny musieli nabiegać i nakręcić się nie mało, zanim ich przyjęto do polskiéj szlachty, a z częsta i gęsta zdawało się, że taki obcy książe albo magnat ogromne sumy łożył i nakrzątał się co niemiara, a takić musiał się kontentować swojém zagraniczném księstwem, i nie mógł zostać polskim szlachcicem ani rusz. Tymczasem pan hetman naszym walnym chłopom dotrzymał słowa, i wnet ci od króla i sejmu przyszło pisanie, że wszyscy cztérdziestu mają być szlachcicami, i każdy ma odtąd nazywać się Żółkiewskim, jak sam hetman sławny. A nadto każdy z nich dostał i gruntu tyle, że choćby na mendle liczył dzieci, nie potrzebował się troszczyć o chléb Boży.

Ej, cóż to były w Polsce za obyczaje! Dziś był ktoś prostym chłopem, a ledwo raz za ojczyznę nadstawił skóry, to jutro zaraz, to pan całą gębą, a ani go odróżnić już od samego hetmana, boć obadwaj dla równości szlacheckiéj jednakie nawet mają nazwanie.

Walenty ze Smolnicy.

O pierścieniu królewnéj.

Podanie nadwiślańskie.

(Dokończenie).

Aż z z fali powoli podnoszą się głowy,
I piersi ku brzegom w takt biją wiosłowy;
Rycerzy posępnych stu na brzeg wróciło,
Lecz w dłoni żadnego pierścionka nie było.
Wielka więc posępność dwór króla osiadła;
Król chrobry sponurzał, królewna pobladła,
I z oczu jéj modrych jak paciorki złote —
Łzy jasne w wiślaną cicho ciekły wodę.
I w ciszy téj wielkiéj i w owéj tęsknocie
Dźwięk lutni nadleciał, po wody pluskocie
Nadpływał ku brzegom, cichutko i rzewnie
Ku ojcu tęsknemu, ku smutnéj królewnie.
Spojrzeli ku Wiśle; po Wisły głębinie
Łódź mała, na łodzi biały starzec płynie;
Przydługa mu broda w miesiączku srébrzeje,
A w dłoni ma lutnię, a z lutni pieśń wieje.
— Oj królu ty chrobry, oj piękna królewno,
Czemużeś ty smutny, czemużeś ty rzewną?
Pierścienia fal Wisły nie puści zazdrośna,
Stroskany ty królu, królewno żałośna!
Nie puści, nie puści, aż wyrok sam Boży
Przełamie jéj upór i pierś jéj otworzy;
Nie puści, aż rycerz zbawca tu przybędzie,
I pierścień twéj córy swym mieczem posiędzie...
Bo oto tę ziemię, gdzie Piasty władają,
Nieszczęścia i ucisk od wrogów czekają,
I chwała jéj w niwecz obróci się marnie,
A ludy i ziemię czlek obcy zagarnie.
I w grobie ty królu we wielkiéj boleści
Obracać się będziesz na te strasne wieści
I kroki najezdców ty ziemię ugniotą,
Gdzie będziesz spał z berłem, z koroną spał złotą.

Aż kiedyś, po latach, po wiekach już wielu,
Ty wstrząśniesz się w grobie na starym Wawelu,
Bowiem rycérz zbawca, co podobny tobie,
Z druhami, chrobrymi przyklęknie na grobie.
I znowu w królewskich komnatach zagości
On wielki, on dzielny wojownik przyszłości,
I z okien po kraju powiedzie oczyma —
Czy Polska już wolna, czy wroga już nie ma?
A wroga nie będzie jak granic jéj stawa,
Lecz będzie, och będzie jak jedna szmat krwawa,
Lecz niwy nie będzie, co plon by nosiła,
Pasieki nie będzie, coby miód sączyła!
I będzie głód wielki i głód ten dobodzie
Ludziskom na polu, rycerzom na grodzie,
I rycerz, ów zbawca, rycerz z białém czołem
Nie będzie miał druchów czém raczyć za stołem.
I wtenczas rybacy z wiślanéj otchłani
Poniosą rycerzom srébrne ryby w dani,
A kiedy swą rybę mąż zbawca rozkroi,
To znajdzie w niéj pierścień, pierścień córki twojéj.
I schylon po nad nim w głębokiéj zadumie
On dzieje pierścienia tajemne zrozumie,
I pierścień dziewicy na palec swój włoży:
Tak mężów wybawców złączy wyrok Boży!...
Tu starzec pieśń skończył i cisza nastała.
I dwór się zadumał i królewna biała,
I stary Łokietek łzy ronił w zadumie —
Zgasł księżyc, a starzec gdzieś zginął w wód szumie....

Józef Szujski.

Biada pijanicy, biada jego ciału i duszy!

Nieszczęśliwą była Katarzyna, komornica z Lisiówek, bo i jakże nie miała być nieszczęśliwą, kiedy Tomasz, mąż jéj zapijał rozum i duszę w przebrzydłéj gorzałce i powracał do domu jak nie stworzenie Boże. Biéda była okrutna w chałupie, a Tomasz zamiast wziąść się szczérze do roboty i ogarnąć się trochę z biédy, zarobiony nawet przez Katarzynę grosz zanosił do karczmy i przepijał marnie. Zanosiła się nieraz od płaczu biédna żona, prosiła, błagała Tomasza w imię Boga, ale to nic nie pomagało. Dziś obiecał, że już pić nie będzie, a jutro taczając się wracał z karczmy do chałupy.

Nie raz nie dziesięć mówił ksiądz proboszcz Tomaszowi:

— Upamiętaj się, człowieku, a bacz na duszę swoję, daną ci od Boga, żebyś jéj dobrowolnie nie zgubił, boć prawdziwie idziesz na ostatnią zgubę i stajesz się podlejszym od najgorszego zwiérza dla pijaństwa twego, albowiem nie dał pan Bóg rozumu ani duszy bydlęciu, ale tobie dał rozum i duszę, a ty ją topisz w gorzałce, żyjesz jakobyś jéj nie miał...

Tomasz, ile razy go napomniał ksiądz proboszcz, tyle razy obiecywał poprawę, ale gdzie tam, jak jéj nie było tak nie było! Już mijał rok piąty pożycia jego z Katarzyną, a nie było u nich jeszcze dzieci. Kiedy im wreszcie dał pan Bóg nadzieję, że będą mieli dziecię, Tomasz ledwo nie oszalał z radości, bo był on nie złym człowiekiem, serce miał jakby wosk miękkie, to też gdyby nie to nieszczęsne pijaństwo, dalekobyś mógł szukać takiego człowieka, jak Tomasz. Przeklęta gorzałka nieraz już najpoczciwszych ludzi zrobiła hultajami. Ona to nieraz zgubiła duszę sprawiedliwych, kiedy zamiast używać w miarę owéj niszczycielki, oblewać się nią poczęli, jakby nie stworzenia Boże. W niéj też i Tomasz miał znaleźć swoją zgubę.

— Prawda — mówił teraz Tomasz — już sam poznałem, żem nie wart błogosławieństwa Bożego, żem nie wart czci ludzkiéj, ale już odtąd innym będę człowiekiem! Odtąd pić będę miarą, będę uchronny, trzeźwy, ażeby Bóg błogosławił temu dziécięciu, które mi zsyła!...

Ale cóż pomogła ta mowa, kiedy dziś tak mówił, a jutro powracał pijany do domu! Nie mógł się oprzéć nałogowi; zwyciężyło go pijaństwo i zapanowało nsd jego wolą.

Był właśnie trzaskający mróz na dworze, w chałupie Tomasza zimno było takie, żeby pies był zawył. Drzewa nie ma ani kawałeczka. Katarzyna przyszedłszy z pracy, przytulona w kącie, stękała, spracowała się bowiem nieboga przez dzień cały na najmie, a teraz strasznie pobiérały ją boleści, i zimno okrutnie jéj dokuczało. Tomasz siedzi na skrzynce jeszcze zaspany, choć to było już pod wieczór. Spojrzał wreszcie na Katarzynę i obaczył, że okrutnie mizerna. Poczęło go gryźć sumienie, zebrał się więc, wziął ze sobą powróz, ażeby choć pod noc puściwszy się na zbiérankę, przynieść trochę drzewa, by Katarzynę rozgrzać i uwarzyć jéj co ciepłego. Ale droga do lasu prowadziła koło karczmy. Tomasz nie przejdzie koło niéj, żeby nie wstąpić i nie wychylić kilku kieliszków wódki. Niedawno wprawdzie dopiéro ztamtąd powrócił i pilno mu téż wracać do żony, ale na jeden kieliszek myślał sobie wstąpić zawsze mogę. Kieliszek jeden wnet się wychyli, a wtedy raźniéj pójdę do lasu. I wstąpił do karczmy. Wychylił kieliszek i wybiéra się do lasu, ale mu zły duch szepce: Wypij jeszcze drugi! Tymczasem przyszło dwóch znajomych do karczmy. Począł więc Tomasz pić do nich na nowo. Zrazu za każdym kieliszkiem mówiło mu coś w sercu: Ej Tomaszu, Tomaszu, idź spiesznie po drzewo, a powracaj do żony, — to téż Tomasz za każdym razem chwytał za powróz i już chciał iść do lasu, ale znowu zły duch podszeptywał mu ciągle: Wypij jeszcze jeden kieliszek, a Tomasz znowu się brał do kieliszka. Nareszcie zapomniał całkiem o żonie, położył powróz na ławie, usiadł przy nim i pił wódkę ze znajomymi. Potém przewrócił się na ziemię i zasnął. Już ranek zaświtał, kiedy Tomasz otworzywszy oczy, ujrzał się pod ławą w karczmie. Zrazu wcale się nie zdziwił, bo nie piérwszy raz pad ławą było mu nocować, ale gdy spojrzał na ławę, a obaczył na niéj powróz, coś go zaniepokoiło i coraz bardziéj rozjaśniło się mu w pamięci. Nareszcie przypomniał sobie wszystko, uchwycił się za głowę i zerwawszy się ze ziemi, wziął powróz, wybiegł co tchu z karczmy i jakby szalony pędzi do lasu....

Nie długo trwało, Tomasz powraca z lasu z drzewem na ramieniu i zdąża ku chałupie. Ale im bliżéj przychodzi ku chałupie, tem bardziéj go jakoś przechodzi mrowie i wszystko jakby mu gadało w sercu: Oj Tomaszu! Tomaszu! przyszła na ciebie zła godzina... Już uprzykrzyło się Bogu patrzéć na ten grzéch twój obrzydły!... Pociesza się Tomasz jak może, ale serce mu ciągle puka, a do ucha coś mu szepce: Oj Tomaszu, Tomaszu! biada pijanicy, biada jego ciału i duszy! Już przyszedł przed chałupę, ale czegoś nie śmie wejść do niéj, nadstawia piérwéj ucha przy oknie, a w oknie dziura, którą wczoraj wybił po pijanemu, i słucha czy się co nie ruszy w chałupie.

Słucha, słucha, ale w chałupie cicho, jakby wymiótł. Słuchał jeszcze przez chwilę, ale w chałupie cichuteńko. Zmieszany zbliżył się ku drzwiom, wszedł do sieni. I odemknął drzwi do izby. Tu na gołéj słomie podziéwana do połowy gałganami leży żona

biała jakby śnieg, co okrywa pola i martwa jak kamień. A u piersi jéj leży dziéciątko nagie, jak je pan Bóg stworzył, i sine jakky sukno, i nie masz już iskry życia ani w matce, ani w dziecinie małéj. A w chałupie wiatr gwiżdże przeraźliwie. Tomasz wsłuchał się w poświst wiatru, a coś szepce mu do ucha i do serca: Biada, biada pijanicy, biada jego ciału i duszy!...

Na drugi dzień sąsiedzi weszli przypadkiem do chałupy Tomasza. Jeszcze Katarzyna leżała na téj saméj słomie i dziecko leżało przy niéj iak wczoraj a na haku koło łoża wisiał Tomasz na tym samym powrozie, z którym był poszedł po drzewo do lasu, bo usłuchał głosu złego ducha nawet w godzinie żałoby i rozpaczy, jak go słuchał przez lat wiele....

Osłupieli ludzie na ten widok i pełni trwogi rozeszli się do domów. W dzień i w nocy stał im przed oczyma straszny obraz, który spowodował Tomasz pijanica. Ze składek pochowano uczciwie żonę i dziécię, a Tomasza zagrzebano gdzieś przy rozstajnéj drodze w niepoświęcanéj ziemi.

W chałupie, w któréj mieszkali Tomaszowie, świszcze wiatr jak świszczał w godzinię śmierci Tomasza i jego żony, a jęczący głos wiatru zdaje się mowić do każdego przechodzącego koło tego domu: Biada pijanicy, biada jego ciału i duszy!

I pokazują sobie ludzie dom ten okrutny, w którym spotkała kara Boża człowieka, co pogardził duszą dla gorzałki i stał się podléjszym od zwiérzęcia... i strach przejmuje każdego.

Maciéj Szarek z Brzegów.

Feliks Boruń.

Różnemi sposobami może sobie człowiek zasłużyć na piękną pamięć i miłe wspomnienie. Dzieje się to atoli wtedy, gdy się odznaczy przykładném życiem i pięknemi uczynkami, które drugim mogą służyć za przykład i naukę dobrą. Nie zważa się tu na stan, ale na samego człowieka, bo i najuboższy może dać ze iebie przykład bogaczowi i pobudzać go do wykonywania pięknych czynów. Do takich ludzi, którzy lubo z nizkiego pochodzili stanu, a prawością swoją mogą przyświécać każdemu, należy Feliks Boruń ze wsi Kaszowa pod Krakowem.



Był to człowiek rzadkiéj pobożności, łagodnych obyczajów, a co już serce, to miał jakby złote. Szanowany był nie tylko w swéj rodzinnéj wiosce ale w całéj okolicy, bo ze wszystkimi żył w wielkiéj zgodzie; każdego uszanował i zrobił wszystko dla każdego, co tylko zgadzało się z jego wiarą i sumieniem Zajmował się tkactwem, był oszczędny i pracowity, na cudzy grosz nie łakomy, a pijaństwem brzydził się nadzwyczajnie. Mając kawałek gruntu i własny domek, odstąpił swéj zamężnéj córce, a sam tkactwem zarabiał sobie na kawałek chleba, nie patrząc na cudze ręce, chociaż w podeszłym był już wieku. Kiedy miał lat 60, powstała w nim myśl świątobliwa, aby pielgrzymką puścić się do Rzymu i odwidzić Ojca świętego jako przedstawiciel pobożności naszego ludu. Wytrwały w swojém przedsięwzięciu nie zważał na mowy różnych ludzi, którzy mu odradzali tak daleką a uciążliwą podróż, lecz puścił się ubłogosławiony na drogę do stolicy świata. Szedł on pieszo na Wiédeń, Grac aż do nadmorskiego miasta Tryjestu, zkąd na okręcie płynął do Wenecyi, zkąd pojechał koleją żelazną do Padwy, z któréj pochodzi święty Antoni, a potém znowu szedł piechotą. Był w cudownym domku Najświętszéj Panny w Loreto, aż niebawem piechotą przybył do Rzymu. Tu zabawił 10 tygodni, modlił się i zwiédzał kościoły i inne ciekawości przy pomocy tamtejszych księży Polaków i różnych panów polskich, którzy mieszkają w Rzymie. Z stolicy świata wysłali go dobrzy ludzie koleją do francuzkiego miasta Marsylii, ztąd do Lijonu a następnie do Paryża, zkąd przez Kolonije, Berlin, Wrocław, Częstochowę przyjechał do Warszawy, a ztąd do rodzinnéj wioski. A wszystko to zwiédził na koszt, różnych panów polskich, którzy go pokochali jak swego brata. Kiedy powrócił z dalekiéj podróży, przybył do Krakowa do p. Wielogłowskiego, co tak wiele pięknych napisał dla Was rzeczy i opowiedział mu wszystkie zdarzenia z drogi. Pan ten miłujący bardzo włościan, sipsał wszystko jak się patrzy i kazał wydrukować książkę pod napisem: *Podróż do Rzymu i Paryża* odbyta w roku 1861 przez Feliksa Borunia. Tam dopiéro wyczytać można jak dobry ten chłopek doszedł do Rzymu, jak się widział z Ojcem świętym, jak otrzymał od niego błogosławieństwo dla swoich rodaków i kraju całego, chociaż Ojciec święty był wtenczas chory i nie przypuszczał do siebie nikogo. Ale bo też papież widział już u siebie szlachciców i z mieszczańskiego stanu pochodzących Polaków, ale nie widział jeszcze polskiego chłopa. Boruń był piérwszym, który mu się przedstawił w siermiędze i mówił z nim, chociaż nie znał mowy włoskiéj.

Daléj opisuje on podróż do Francyi i mówi:

— Zastanowiłem się nad tym narodem francuzkim a mówiłem sam do siebie: Cóż też to za naród poczciwy i serdeczny, żeby nieznajomego chłopa tak ukochać za to, że jest Polakiem!... Albo i te wojaki, co to za dobrzy ludzie (co mu znosili tyle jedzenia i picia na okręcie, żeby mu na kilka dni wystarczyło), którzy się zaraz tak do mnie garnęli, jakbyśmy od dawna byli z sobą w przyjacielstwie! Oj dobry to naród i musi być w łasce u pana Boga, gdyż i biédy tam nie widać i każdy jest wesoły i ukontentowany!

Po przybyciu do domu, nie długo w niem siedział Boruń, bo znowu myślał nad tém, jakby się tu udać do ziemi świętéj i uczcić miejsca, po których chodził Jezus Chrystus? I znowu udało się mu wykonać twą myśl piękną. Zdarzyło się właśnie, że hrabia Włodz. Małachowski z Końskich, pan pobożny, bogaty a hojny, dowiedziawszy się o Boruniu, pisze do niego, że mu daruje w dobrach swoich na własność wieczystą dom z zabudowaniami gospodarskiemi i 32 morgi ornéj ziemi a to za darmo bez opłaty. Zadziwił się tém wielce i przyszedł po poradę do p. Wielogłowskiego.

— Co mi po tyle ziemi i takim majątku?—mówił z płaczem — tego nie wezmę do grobu, a że się urodziłem chudakiem, nie pragnę więcéj w życiu jeno łaski i miłosierdzia Boskiego. Daru pana hrabiego przyjąć nie mogę, boć ja jemu nic nie zrobiłem dobrego. Zresztą urodziłem się w Kaszowie, to i pragnę umrzéć między swojakami, a nie składać gdzieindziéj kości moich!...

Pan Wielogłowski napisał list do pana hrabiego jak się rzeczy mają. Wnet przyszło znowu pisanie, że kiedy Boruń nie chce przyjąć ziemi i domu, to pan hrabia puści to w dzierżawę i będzie mu posyłał czynsz z tego, aby się modlił, by w narodzie polskim panowała jedna wiara, miłość i zgoda...

Wtedy poszedł Boruń do Końskich i dziękował panu hrabiemu za łaskawość wielką, ale nie chciał przyjąć daru. Wtedy zmusił go przecie pan hrabia, że przyjął pieniężny datek, jak mówił — nie na swoje wygody, ale na chwałę Bożą. Za te to pieniądze udał się Boruń do Ziemi świętéj, a gdy wrócił z drogi, przyszedł znowu do p. Wielogłowskiego, opowiedział wszystko, co widział i robił, a on spisał drugą książkę i dał jéj napis: *Pielgrzymka do Ziemi świętéj*, odbyta w 1863 r. przez Feliksa Borunia.

Radzimy więc każdemu z duszy i serca, by sobie kupił obie te książki bardzo tanie, o dowié się o różnych ciekawościach i mile spędzi długie wieczory zimowe.

Piszemy tu zaś o Boruniu nie dla tego, żebyście się udawali do Rzymu lub Ziemi świętéj, bo to trudna sprawa, ale dlatego, żebyście go naśladowali w cnotach, a wtedy będzie święta zgoda, miłość i spokój między ludźmi, czego nam koniecznie potrzeba.

Dzisiaj Boruń już nie żyje, bo w roku 1864 wracając z odpustu z Kalwaryi i przewożąc się promem z innymi ludźmi na Wiśle pod Krakowem, utonął pozostawiając wielki żal po sobie. Pokój jego czystéj duszy i wieczne odpoczywanie!

Józef z Bochni.

Pogadanki gospodarskie.

— Wszystkim robotom waszym, od czasu, jakeście z téj zagranicy powrócili, z wielką przypatrywałem się ciekawością i rozmaicie sobie myślałem o was, kochany sąsiedzie! I przyznam się, żem was nieraz żałował, a dość często naśmiałem się z was w duchu, patrząc, jakeście wy n. p. koło tego gnoju robili. Ale zawszem sobie powiadał, że najlepiéj czekać końca, bo w końcu pokaże się, jak mój sąsiad na tém wyjdzie. Dzisiaj już inaczéj o was myślę, kochany sąsiedzie, bo urodzaje świadczą na waszém polu, iż nie napróżno przewracaliście ziemię w inny sposób jak my a szczególnie ta robota koło gnoju zapewne najlepiéj się odpłaciła. — Temi słowy zaczął rozmowę Marcin Widomski, kmieć, z sąsiadem Jędrzejem, gdy się spotkali na miedzy.

Jędrzej: Dzięki Bogu, na urodzaje nie mogę się skarżyć. Gdzieindziéj zboże powylegało, chwasta mi przerosło, albo zapewnia plon mizerny; u mnie dzięki Bogu, w ogóle zboże było piękne. Człowiek się napracował, to prawda, ale też za to cieszy się teraz, patrząc na owoc swéj pracy. Ale jak tu teraz nie pracować, moi kochani, kiedy czasy takie ciężkie, a wydatki i potrzeby nasze coraz większe! Dzisiaj, gdyby się w gruncie tak pracowało, jak nasi dziadkowie, pradziadkowie, pewnieby wnet człowiek poszedł z torbami. I już to nie jednego spotkało. A cóż myślicie o Kubie? On tak na roli, jak i my, nawet grunta jego lepsze; nie pije, w karty nie gra, i kobiéta jego oszczędna, a przy tém wszystkiém u niego zawsze biéda i coraz większa biéda. Wczoraj znowu dwa morgi sprzedał, to o tém wiécie. A gdyby tylko usłuchał dobréj rady, to i biédaby od niego uciekła, i grosikby się złożył za kilka lat na wykupienie gruntu sprzedanego. Ale dla niego nie ma rady: on orze tak, jak jego dziadek orał, sieje jak jego pradziadek siéwał, a jego gnojem to się cudze pola uprawiają, choć mu nie raz mówiłem, gdy przyszedł do mnie pożyczać pieniędzy: Jakóbie, róbcie lepiéj koło waszego gruntu, a nie będziecie potrzebowali pożyczać pieniędzy, bo u was pieniądze leżą przed domem, ale obcy ludzie z nich korzystają. Temi pieniądzmi, to wasz gnój. Zróbcie sobie w innéu miejscu gnojowisko, bo tu wam po każdym dészczu woda większą część nawozu najlepszego zabiéra, a nawóz, to przecie podstawa gospodarstwa. — Myślicie, że Jakób usłuchał? Pokiwał głową i odpowiadał zawsze, że jego ojciec tyle lat tu żył, a nie robił inaczéj, to téż i on nie chce zmieniać. Ale to nie tylko Jakób, jest tu w naszéj wsi więcéj takich, i powiem wam prawdę, że w całéj okolicy, jak ją znam, rolnicy w ogóle źle gospodarują. Jest może po części wina w tém, że tu i panowie po dworach mało gdzie pozaprowadzali gospodarstwo postępowe, a chłop nie mając zkąd brać przykładu, robi tak, jak jego dziadek i pradziadek, a do książki też nie zajrzy, bo nie wierzy temu, co tam jest napisane. To znowu w tych stronach, gdziem blizko 20 lat przebywał, wcale inaczéj i panowie i chłopi gospodarują. Trzebaby wam widzieć gospodarstwo takiego kmiecia w Niemczech, jego krowy, jego konie, jego budynki gospodarskie, a powiedzielibyście, że to chyba gospodarstwo dworskie, ale nie chłopskie. Chociaż kmieć w Niemczech nie ma tyle gruntu, jak kmieć u nas, gdzie niektóry ma po 60 i więcéj morgów ornéj ziemi to z 20 morgów więcéj wydobywa jak nasz z 30. Z początku będąc tam żołnierzem, nie wierzyłem temu, co mi opo-

wiadali ,o gospodarstwie, i śmiałem się z nich, widząc jak n. p. robili koło gnoju, tak jak wyście się ze mnie śmiali, ale jakem potém widział, co oni zbiérają z 10 morgów, to nie tylko, żem już wszystkiemu wierzył, ale mnie taka chętka i zazdrość opanowała, żem postanowił po wysłużeniu w wojsku przyjąć służbę parobka u któiego kmiecia niemieckiego, aby się tylko nauczyć gospodarki. I służyłem trzy lata u jednego rolnika niemieckiego, dobrego gospodarza, a potém dostałem się do pewnego pana na mały folwark, gdzie także byłem przez 3 lata. Przez te sześć lat poduczyłem się dobrze gospodarki, lecz jeszcze do domu nie wracałem, bo rad byłem poznać także gospodarstwo większe, dworskie; szczególniéj drenowanie, o którém niejasne miałem rozumienie — i to przyszło mi bardzo łatwo, bo były mój kapitan Polak, dowiedziawszy się o mnie, zabrał mię do swoich dóbr w Szlązku, gdzie mu pomagałem w gospodarstwie przez dwa lata. Od niego dostałem się jeszcze na większe gospodarstwo do jego krewnych w Poznańskiém, gdzie również przez dwa lata gospodarując, nauczyłem się jeszcze nie jednéj ważnéj rzeczy. Te dziesięć lat spędzonych na służbie w innych krajach wyszły mi na dobre: człek poznał lepszą gospodarkę, wyuczył się lepiéj obcego języka, a swojego téż nie zapomniał, bo czytywał książki polskie, do tego złożył trochę grosza, było więc za co puścić się w drogę do swojego gniazda. Wiadomo wam, jakie tu grunta odebrałem: w jedném polu pérz, w drugiém rósł oset zamiast zboża, a trzecie leżało tłokiem. Łąki — to istne bagno, a budynki akto wyglądały; pamiętacie? A dzisiaj przy pracy, dzięki Bogu, wszystko się zmieniło.

— Ej, to prawda, — wtrącił Widomski. — To téż tu są tacy, co wam bardzo zazdroszczą, i rozmaicie o was mówią. Niedawno mówił mi jeden z tamtego końca wsi, a nie chcę go wymieniać, bo mnie aż wstyd, że taki głupi, że u was diabel jest na służbie. Ja się rozśmiałem, a on mi na to tak powiedział:

— Ale wierzcie mi kumotrze, już nieraz przechodziłem koło jego obory w nocy, i widziałem, jak coś po gnoju deptało ziemię, rozsypywało, a kiedym rano tamtędy przechodził, tom widział, że gnój był w największym porządku ułożony i ziemią przysypany. A któżby to robił, jeżeli nie diabeł?

Jędrzej: Tom do prawdy nie wiedział, że w naszéj wsi są jeszcze tacy głupcy! Ten wasz kumoter z pewnością musi się mieć kiepsko?

— O ledwo że żyje, choć dopiéro po zbiorach. Jeszcze nic nie siał na zimę, bo nie ma ani pod ćwierć wysiewu nawozu.

— Namówcie go, żeby w przyszłą niedzielę przyszedł do mnie, to mu pokażę tego diabła, co mi nawóz robi.

— O spodziéwam się, że jak mu tylko powiem, to on do was przyjdzie z chęcią. Ale wiécie co, kochany Jędrzeju? Tém waszém opowiadaniem o lepszém gospodarstwie i tém, co widzę u was, takeście mnie do siebie przyciągnęli, że choćbyście się i gniéwali, to ja do was będę przychodził, żebyście mnie prawiali o takiéj gospodarce, jaką wy prowadzicie, bo ja już wierzę teraz, że robiąc tak w roli jak robili nasi ojcowie i dziadkowie, dzisiaj nie wystarczy. Najlepszy przykład mam z was.

J. Widomski: — Bardzo chętnie, moi kochani! nawet nie tylko was samych, ale wszystkich gospodarzy ze wsi, gdyby się tylko schodzili a słuchali, pouczałbym, jak mają goapodarować, żeby się im lepiéj działo. Możecie im o tém powiedzieć, a ja oczekuję was w niedzielę po nieszporach.

Wojciech z Kunic.

Nowa kolenda.

Patrzcie! co się dzieje, całe niebo płonie,
A Anieli w śpiewie dają sobie dłonie!
Dają sobie dłonie w braterskiéj miłości,
I śpiéwają wdzięcznie heń na wysokości:

— Chwała niechaj będzie Panu nad Panami,
A pokój na ziemi między narodami!
Potém znowu chwałę śpiéwa Mu drużyna,
Że nam z nieba zesłał jedynego Syna.

Gwiazda Go złotemi promieńmi odziéwa,
A znów wół z osiołkiem swém ciepłem ogrzéwa,
Ogrzéwa dziecinę na sianku złożoną
Dla naszego szczęścia w nędzy narodzoną.

Maryja Matula do łona go tuli,
A Józef staruszek nuci: luli, luli,
Luli Mu śpiéwają przybyli pastérze,
I ubogie dary oddają mu szczérze.

I my Mu oddajmy nasze serca czyste,
Bo Mu to jest milsze nad dary złociste,
Nad złoto, nad srébro i drogie kamienie
Serc naszych niewinność większe ma znaczenie.

A gdy z niewinnością miłość pójdzie w parze,
To nam za nie Jezus niebiosa ukaże,
Ukaże nam niebo, które posiędziemy,
Gdzie go z Aniołami wiecznie czcić będziemy.

Z Gręboszowa ks. H. Otowski.

Co słychać w świecie?

Wojna między Francyją i Prusami trwa dotąd i Bóg jeden raczy wiedzieć jak długo jeszcze ciągnąć się będzie? Francyja nie ustąpi w żaden sposób; bić się będzie do upadłego. Prusacy wszystkie siły gromadzą do Francyi; zwołują nawet 40-letnich landwerzystów, ojców rodzin, którzy teraz karabinem robić będą musieli. Spodziéwają się, że zniszczą Paryż albo że im się sam podda, a nie wiedzą, że chociażby to nastąpiło, to jeszcze nie ma końca wojnie, bo Gambetta, minister wojny, na południu Francyi prowadzić ją będzie.

Wojna we Francyi jest narodową, a więc naród tak długo walczyć będzie, dopóki nie wyprze wroga. Wojna dla Francuzów jest srogą, stokroć gorszą ona dla Prusaków. Kraj ich utrzymuje się z przemysłu i handlu; ten upadł dziś zupełnie. Z ziemi nie mają Prusacy wielkiéj korzyści, a więc straty ich tém dotkliwsze.

Od 27. listopada przez całe siedm dni były bitwy. Donoszą, że w armii francuzkiéj obudził się duch nowy i wszystko idzie jak po maśle. Dla Prusaków odwinęła się chorągiewka szczęścia. Każdą piędź ziemi muszą okupywać krwią i stosami trupów. Jenerał Trochu wychodził z Paryża i trzepał skórę Prusakom. Straty ich były wielkie.

Amerykanie przysyłają teraz broń Francuzom. Piszą z Nowego Jorku, że posłano im 18 milijonów

nabojów, 90.000 karabinów odtylcowych, 2.000 pistoletów i 55 armat, co wystarcza, by 150.000 armiją uzbroić należycie.

Donoszą, że z Afryki, kraju algierskiego, ma przybyć do Francyi moc wojska nieulęknionego.

Garybaldi donosi swojéj córce, że sprawa mu dobrze idzie, bo dzielnie bije Prusaków, a wojsko jego ma się wyśmienicie.

Piszą, że ostatnie bitwy we Francyi nie były bitwami, ale prawdziwą rzezią. Znoszono całe regimenta, to też mówią, że nawet za Napoleona I. nie było takich okropnych bitew. Niszczono całe wsie, napadano na nie, tracono i znowu je zdobywano. W czasie wycieczek d. 29. i 30. listopada, potém, 2. 3. 4. i 5. grudnia bitwy były srogie. Mówią, że podług doniesień francuzkich padło do 20.000 Prusaków, tak, że niemożebną było rzeczą pozbiérać trupów, to też Prusacy zostawili ich na polu bitwy.

Była wielka bitwa pod Orleanem, gdzie odparto Prusaków z wielkiemi stratami, lecz późniéj zdobyli to miasto Prusacy i siedzą w niém dzisiaj.

Piszą z Wersalu d. 6. grudnia, że z fortów paryzkich do tego czasu puszczono 9.000 bomb na okopy pruskie.

Król pruski ogłosił się césarzem niemieckim i od 1. stycznia 1871 roku ma już nosić ten tytuł. Sami Niemcy nie przewidują ztąd dla Prus nic dobrego i wróżą, że będą złe skutki. Powinno tedy być zadaniem Bismarka, rozumują niektórzy, iżby teraz wypadało, gdy Wilhelm będzie césarzem niemieckim, by césarz Aleksander był césarzem wszystkich Słowian. Ale są to tylko gadaniny, które się może skończą na mrzonkach.

Francuzi zbroją się na dobre; trzymają się teraz razem i jeden cel mają na oku. Różnice i nieporozumienia ustają, bo postępowanie Prusaków doprowadza ich do ostateczności. Wkrótce ma się zebrać wielka armija na półnccy a pomnożyć armija na południu Francyj. Mówiono, że obie te armije są rozbite, ale to są bajki rozsiéwane w téj myśli, by osłabić ducha u Francuzów. Prusacy grasują we Francyji po barbarzyńsku i karzą częstokroć niewinnych za winnych a najwięcéj za to, że Francuzi bronią swego kraju i odznaczają się wielką miłością ojczyzny. Powiadają atoli, że Prusacy w ostatnich bitwach ogromne ponieśli straty. Telegrafowano z Berlina do Wiédnia, że w ostatnich bitwach zginęło 60.000 Niemców! Cóż tu mówić, kiedy się już w Berlinie przyznają do tego! Włosy stają na głowie, co piszą o rannych. Wielu wymarzło w zimnych nocach, setkami leżeli inni bez pomocy. Trupów leżą kupy a niema kiedy ich zagrzebać. Okropne rzeczy z temi wojnami!

Dnia 8. grudnia uchwalił pruski sąd wojenny, by zacząć bombardowanie Paryża. Zaczęto, ale znowu odwleczono. Jakoś z tą sprawą nie mogą sobie dać rady Prusacy, chociaż pod Paryż sprowadzili 200 armat oblężniczych i dwie armaty olbrzymie. Nabijają po 500 nabojów do jednego działa. Francuzi, jak piszemy, gromadzą wielkie wojska, bo okrucieństwa Prusaków pobudzają Francuzów do rozpaczliwéj walki narodowéj. Ludność Paryża wyczekuje z upragnieniem chwili zemsty. Francuzi wiedzą, że położenie Prusaków pod Paryżem jest bardzo przykre. Są znużeni i wysileni trudami i innemi przygodami. Chcianoby zdobyć Paryż, ale nie tak to łatwo. Głodu w Paryżu nie ma, jak ogłaszano, i długo go nie będzie. Że tam drogo, to się samo przez się rozumié, piszą jednak, że do końca lutego wystarczy wszystkiego.

Prusacy podwoili teraz dozór nad francuzkiemi jeńcami, albowiem chcieli się umknąć z niewoli, gdyż miano im dostarczać różnéj broni.

O wojnie między Rosyją i Turcyją nic nie słychać pewnego; zdaje się, ze może i do niéj nie przyjdzie. Zresztą Bóg raczy wiedzieć jakie będą dalsze koleje na świecie! Głoszą, że za poradą Bismarka udano się z Prus do Wiédnia po godła césarskie dla króla pruskiego i mają nadzieję, że je odzyskają, ale nam się zdaje, że z tego nic nie będzie, bo Prusy 1866 roku wykluczyły Austrję z Niemiec.

Po kapitulacyi Paryża ma koronacyja króla pruskiego odbyć się w Berlinie.

Piszą z Berlina d. 9. grudnia, iż na północy Francyi utworzyła się armija licząca 200,000 ludzi a wkrótce ma być jeszcze większą.

Powodzenie Prusaków teraz coraz gorsze. Niezadługo nastąpią ważne rzeczy, które o ile sądzić można, przyniosą Francuzom wielką korzyść. Nie jest z nimi tak źle, jak niektórzy rozsiéwają. Naród to wielki i szlachetny, kiedy bez armii regularnéj tak długo trzymać się potrafi i nadto bije skórę nieproszonemu gościowi.

Ponieważ rząd francuzki się obawia, by Prusacy nie napadli na Tours, ma się przenieść do Bordeaux (Bordo), dokąd 9. t. m. ciało dyplomatyczne już się udało.

Nowy król hiszpański Amadeusz I. spodziéwa się na 25. b. m. być w Madrycie. Na Nowy Rok ma złożyć przysięgę. Jest on synem Wiktora Emanuela, lecz życzyćby sobie wypadało, by się nie podał na swojego ojca.

W Berlinie sprzeciwiają się przyłączeniu do Niemiec prowincyj francuzkich Alzacyi Lotaryngii, opierając się na tém, że mieszkańcy ich nie chcą należéć do Niemiec, a przyłączenie ich gwałtowne byłoby krzywdą wolności narodu.

Minister wojny uchwalił pożyczkę 100 milijonów.

Rzymianie okazują wielkie przywiązanie do Ojca świętego i do kościoła, zbiérają składki na różne cele, tak dla Ojca świętego, jakrannych żołnierzy, szkoły katolickie, lecz w Rzymie dzieją się wielkie bezprawia.

Otrzymaliśmy z Kołomyi następujące pisanie z prośbą o umieszczenie w naszém piśmie. A jest takie:

— Jednogłośnie uznaje z boleścią kraj cały przykre swe położenie w obec sąsiadów, wyprzedzających nas w oświacie ogólnéj. Ojczyzna nasza zajęta przeważnie przyrządami wojennymi, nie miała dosyć wolnych chwil, by iść równym krokiem z zachodem Europy w zajęciu się przemysłem i wychowaniem mniéj zamożnych braci naszych. Pozostaliśmy w tyle: to też współzawodnictwo zagranicy rozwielmożniło się u nas tak dalece, że nasze siły są na razie za słabe, aby go odeprzeć, zwłaszcza, że dla braku stósownego wykształcenia nie poznajemy wrogich nam okoliczności, i dobrowolnie, bez oporu pomagamy im do naszéj zguby. Tak dłużéj pozostać nie może, bo żyjemy w czasach, gdzie się rozpoczęła walka ludów o byt. Jak pod bujnym chwastem żadna inna nie utrzyma się roślinka, bo chwast wyciągnie swemi sil-

nemi korzeniami wszystkie soki z ziemi, przyjmie rosę i promienie słońca na to miejsce padające—tak i naród każdy zmarnieje, jeżeli pozwoli sąsiadom wyciągać ze swego kraju dla siebie korzyści.

Przedewszystkiem musi się kraj cały oświécić aby poznał, o ile jest zgubném obojętne zachowanie się nasze w obec obecnéj konkurencyji choćby w rzeczach podrzędnych, a wtenczas znajdziemy odwagą i energiję, godną tak szlachetnéj i ważnéj walk, jaką jest obrona honoru, dobrobytu i przyszłości ojczyzny. Środki znajdą się podostatkiem, pieniędzy dostarczą liczne Wertheimowskie kasy. Poprawienie systemu szkolnego i zaprowadzenie nawét przymusowego odwiedzania szkół dają nadzieję uchylenia złego zaledwie za kilkadziesiąt lat, podczas gdy chwast zakrzewiwszy się na naszéj ziemi, pozbawi kraj najżywotniejszych soków. Nie trwońmyż więc czasu; jedno dzisiaj warta dwa jutra; wytężmy wszyscy bez różnicy nasze usiłowania, by kraj nasz wykształcić, zbogacić, uszlachetnić i postawić go godnie w rzędzie obok sąsiednich cywilizowanych narodów.

W tym celu istnieje i u nas od 3 lat podpisane stowarzyszenie, które urządziło odczyty ze wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiéj, również jak wykłady dla młodzieży rzemieślniczéj i otworzyło dla użytku ogólnego czytelnię, do 900 tomów posiadającą. Stowarzyszenie nietylko pragnie obznajmić się nawzajem z postępem nauk, ale ma także budzić w najobszerniejszych kołach zamiłowanie do postępu, wpływać na uszlachetnienie narodu, podawać sobie wzajemnie rady do ulepszeń w swych szczegółowych zawodach.

Mając tak ważne zadanie do spełnienia, upraszamy, abyś Pan zechciał przystąpieniem do stowarzyszenia i współdziałaniem swojém poprzéć te usiłowania, które tylko wtenczas pożądany uwieńczy skutek, jeżeli wszyscy obywatele, zapomniawszy w miejscu publiczném osobiste niechęci i urazy, tę wspólną podejmą pracę. Pamiętatmy, że przykład jest skuteczniejszym jak rada i nauka. Podzielmy się z współbraćmi z wiedzą naszą, jeżeli jéj więcéj od innych posiadamy, a jak krople wody w jedno spadające miejsce robią wydrążenie w twardym kamieniu, tak i nasze zabiegi nie zostaną bezskutecznemi. Zbyteczném byłoby wspominnać, że i panie od wzięcia udziału usuwać się nie powinny, gdyż one najwięcéj zdziałać mogą jako naturalne wychowawczynie i obdarzone wyższém czuciem i cierbliwością wykonywanin swych zamiarów.

Spieszcie szanowni Obywatele z pomocą ku obronie dumy narodowéj, w obronie dobrobytu, ku obronie godności człowieczéj, bo ten tylko według słów Fryderyka Wielkiego jest dobrym obywatelem, kto wypełnia obowiązki, jakie na niego wkłada społeczeństwo, do którego należy.

Od kierownictwa stow. ku szerzeniu oświaty.

W Kołomyji 22. listopada 1870.

Sekretarz: Przewodniczący:

Alfred Dobrudzki. *Jan Hawel.*

ROZMAITOŚCI.

* Kulę ziemską zamieszkuje ludzi 1288 milijonów. Cała ta ludność mówi 3.642 różnemi językami i wyznaje 1.000 różnych religij. Corocznie umiéra 3.333.333 osób, czyli dziennie 91.337, na godzinę 3.805, na minutę zaś 63; za każdém przeto uderzeniem serca naszego, jeden z mieszkańców ziemi kończy życie. Czwarta część ludności umiéra przed dojściem do 7 roku, a połowa przed dojściem 17 lat wieku. Ze względu na rodzaj życia, najdłużéj żyją księża, następnie rzemieślnicy, wojskowi i gospodarze wiejscy, a najkróciéj lekarze.

Zima się zbliża. Podajemy więc środek, ażeby w najtęższéj zimie jadąc lub idąc nie zmarzły ani ręce ani nogi. Trzeba bardzo drobno pokrajać przynajmniéj dwie garście pokrzyw i wsypać je do stósownego naczynia. Nadto trzeba wziąść pół funta czystego oleju lnianego i zagrzać go w żelaznym garnku, potém wlać go na pokrzywy. Nie powinien jednak być tak gorącym, żeby spalił pokrzywy. Oléj ten z pokrzywami niechaj stoi przez 24 godzin na gorącym piecu lub w gorącym popiele, poczém wyciśnie się go przez płótno i wléwa się do mocnéj flaszki lub słoju. Do niego dodaje się jeden kwintel olejku gwoździkowego i pół funta najmocniejszego spirytusu (*Alcohol vini*), co należy wszystko razem wymięszać, a zrobi się z tego maść żółta. Tą maścią naciéra się ręce i nogi a szczególnie piersi i wszystkie miejsca, które przed mrozem zabezpieczać trzeba, a skutek będzie najpewniejszy.

Donoszą do Unii: D. 7. października wybuchł w nocy w Rodatyczach w powiecie grodeckim ogień u jednego włościanina i przy wzmagającém się wietrze zgorzało trzy zagrody włościańskie. Ogień był podłożony przez niewyśledzonego dotąd złoczyńcę, którego tuż przed wybuchem pożaru kilku włościan widziało uciekającego od zagrody tego włościanina. Piękny przykład ludzkości przy téj sposobności dał dziedzic Rodatycz, którego obydwaj synowie z dworską sikawką, przyborami do gaszenia ognia wraz ze służbą dworską pospieszyli na miejsce pożaru i kierownictwem przy gaszeniu ognia się zajęli. Przy energiczném działaniu zdołano ugasić zabudowania płonące i uratować jeszcze sporą ilość palącego się zboża.

Podaje jedna gazeta wiadomość, że we wsi Toporzysku pod Babią Górą umarł bezdzietnie 14. listopada 1780. r. zagrodnik Jan Ryś. Był to jeden z niewielkiéj liczby tych, którzy w roku 1846 nie rabowali w okolicy, a sam jeden we wsi, co bronił własności, dworu i różne rzeczy uchronił od rabunku i zniszczenia z narażeniem nawet siebie. W nagrodę za to uwolniony był na zawsze od wszelkich powinności. Dnia 27. października będąc chorym, przyjąwszy śś. Sakramenta, zawezwał pana dziedzica A. W. i podyktował mu w obecności wielu gospodarzy testament. Ostatnią wolą swoją zapisał żonie swojéj w dożywocie rolę z wyjątkiem dwóch kawałków, które oddał w dożywocie jéj wychowanicy oraz obligację indemnizacyjną na 200 złr. Po śmierci obu niewiast rola przez nie posiadana ma iść na szkołę, która na tym gruncie ma być postawioną. Uposażył nadto rzeczoną szkołę obligacją indemnizacyjną na 1.000 złr. Daléj przeznaczył 300 złr. na wystawienie kapliczki na swoim gruncie, a 100 złr. na jéj naprawę. Pieniądze. które miał między ludźmi rozpożyczone bez procentu, przeznaczył na najuboższy kościół w Krakowie z obowiązkiem odprawiania nabożeństwa za jego duszę. Wykonawcą testamentu naznaczył pana B. W. i oddał mu do rąk różne dowody oraz obligi indemnizacyjne. Człowiek ten nie umiał czytać i pisać, alo pojmywał potrzebę nauki, a miłpwał ojczyznę jako prawy jéj syn. Oby więcéj było takich!

Wydawca S. Jordan. Redaktor odpowiedzialny J. Chmielewski. W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.